



IV FAJANS
FESTIWAL
WŁOCŁAWEK



Fajans słowo

TOMIK POKONKURSOWY



Fajans słowo

Konkursy literackie cieszą się niesłabnącą popularnością. Przelanie na papier swoich smutków, radości, ekscytacji czy żalu jest często jednym ze sposobów na znalezienie akceptacji wśród innych oraz tak często poszukiwanej wolności. Człowiek, pisząc opowiadania lub wiersze, niekoniecznie musi stać się artystą przez wielkie „A”.

Samo pokazanie siebie i wewnętrznych emocji wystarczy, by zainteresować odbiorców łakących nowych przeżyć i doświadczeń.

Tym bardziej jest nam miło, że to my – Centrum Kultury „Browar B.” – mogliśmy poprzez konkurs „FAJANSsłowo”, stanowiący niejako preludium do dorocznego święta włocławskiego fajansu, jakim jest odbywający się już po raz czwarty Fajans Festiwal, stworzyć warunki o sobom z pisarską pasją do rozwinięcia skrzydeł wyobraźni.

Konkurs podzielono na dwie kategorie wiekowe: dzieci (7-15 lat) oraz młodzież i dorośli (16+). Zadaniem uczestników było napisanie tekstu literackiego, bez ograniczeń gatunkowych, niemniej jednak z fajansowym akcentem. W fabułę utworu należało wpleść motyw związany z kobaltowym dziedzictwem Kujaw. Odzew przerósł nasze najśmielsze oczekiwania. W konkursie wzięło udział 240 osób (44 w kategorii dziecięcej oraz 196 wśród młodzieży i dorosłych). Napłynęły do nas wzruszające wiersze, eseje nawiązujące do czasów wojny, zabawne opowiadania. W literackie szranki stanęli przedstawiciele rozmaitych zakątków kraju – nie tylko z Włocławka i okolic, ale również Warszawy, Wałbrzycha, Otwocka czy Zakopanego.

Jury miało twardy orzech do zgryzienia. Po wstępnej selekcji wybrało spośród blisko dwustu tekstów te najlepsze, najbardziej kreatywne, zapadające w pamięć. Ostatecznie przyznano cztery nagrody w kategorii dziecięcej oraz aż siedem wśród młodzieży i dorosłych.

Patrząc na liczbę, a przede wszystkim poziom artystyczny przesłanych prac, oraz zaangażowanie uczestników, możemy Państwa zapewnić, że nie było to ostatnie wydarzenie literackie organizowane przez naszą instytucję.



Maria Kocot

Historia fajansowej filiżanki

- Dziękuję, jest doprawdy urocza! – zaśmiałem się cynicznie, na widok starej, fajansowej filiżanki. Przedwojenne starocie nie były dla mnie z pewnością wymarzoną prezentem urodzinowym. Ale czegoż spodziewać się po ciotce Wandzie, ekscentrycznej staruszce, z którą przez wszystkie lata zamieniłem raptem parę grzecznościowych zwrotów. Kiedy jednak pewnego dnia zapytałem, dlaczego ta fajansowa filiżanka ma dla niej tak ogromne znaczenie, oczy ciotki zaszklily się, kiedy zaczęła swoją opowieść:

- Przed wojną mieszkałam w Chrzanowie. Chwile te wypełnione były srebrzystym śmiechem mej siostry bliźniaczki. Irenka wyglądała identycznie jak ja. Pamiętam, jak uwielbiałyśmy podziwiać bibeloty wykonane z fajansu w małym sklepiku pana Baumana, który mieścił się na ulicy Krakowskiej. A najpiękniejszym z nich misternie wykonana z fajansu filiżanka, którą w końcu wybłągałam jako urodzinowy prezent.

Pewnego wrześniowego dnia nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestaliśmy być szanowaną rodziną Hirchów, a staliśmy się nic nie wartym żydowskim robactwem. A potem bydlęcy wagon zabrał nas w samo serce czarnej plamy w środku Europy. Esesmani rozkazali nam się rozdzielić: z jednej strony kobiety z dziećmi, z drugiej mężczyźni. Kiedy zbliżała się nasza kolej, ścisnęłam w ręce fajansową filiżankę. Esesman krzyknął uradowany:

- Zwillinge!

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że posiadanie siostry bliźniaczki zdecydowało o tym, że przeżyłam. A może to magiczna moc fajansowej filiżanki? Tymczasem wraz z Irenką trafiłyśmy do brudnego baraku, który wcześniej był końską stajnią. Mój skarb, fajansową filiżankę, schowałam głęboko pod pryczą. Potem dokonaliśmy makabrycznego odkrycia. Wcześniej nie zastanawialiśmy się, dlaczego w baraku mieszkają same bliźniaki. Aż do pewnego dnia, w którym zjawił się on. Doktor Mengele. Anioł śmierci.

Pewnego dnia zabrał mnie do szpitala. Tam zrobiono mi zastrzyk, po którym dostałam wysokiej gorączki.

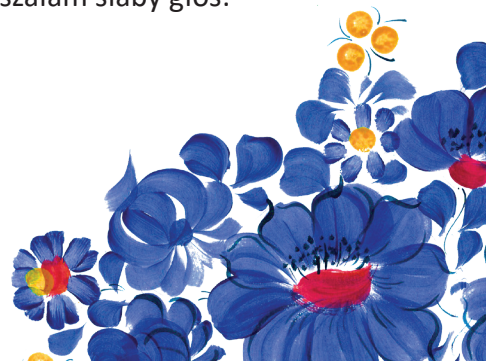
- Wody – szeptałam bez ustanku, jednak nikt mi jej nie podawał.

Wreszcie zostałam usłyszana. Podeszła do mnie jedna z dziewczynek z mojego baraku.

- Dam ci wody – rzekła. - Ale pod jednym warunkiem. Oddasz mi fajansową filiżankę, którą chowasz pod pryczą.

Zawahałam się chwilę, jednak zaraz skinęłam twierdząco głową. Przez następne pięć dni tamta dziewczyna przynosiła mi wodę. Wyzdrowiałam, wróciłam do baraku. Tam dowiedziałam się, że w tym czasie Irenka też była poddawana eksperymentom. Pod koniec listopada 1944 roku nasiliły się bombardowania kompleksu obozowego Auschwitz. Nareszcie ktoś przypomniał sobie o nas, więc może nie wszystko stracone. Złapałam Irenkę za rękę, kiedy usłyszałam słaby głos:

- Wody!



Spojrzałam za siebie i ujrzałam tamtą dziewczynę ze szpitala, której w zamian za napojenie mnie oddałam moją fajansową filiżankę. Teraz to ja nachyliłam się nad nią, pojąc wodą.

Kiedy do obozu weszli sowieccy żołnierze, schowaliśmy się w barakach. Myślę, że nie wierzyliśmy, że to koniec, że jesteśmy wolne, że to wszystko udało nam się przeżyć. Zostałyśmy w końcu zabrane przez Czerwony Krzyż. Gdy wsiadałyśmy do ciężarówek, tamta dziewczyna cisnęła mi coś w dłoń:

- Dziękuję – szepnęła, podając mi fajansową filiżankę.

Spojrzałam na nią z czułością. Cały mój świat legł w gruzach, a ona została nienaruszona i piękna, taka sama jak podziwiałam ją przez sklepową witrynę przed wojną. Pogładziłam ją z czułością. Muszę się wziąć w garść. Niestety powojenna rzeczywistość okazała się trudna. Przez te wszystkie lata ja wciąż tkwiłam w Auschwitz. Nocami wciąż prześladowały mnie tamtejsze demony. Irenka radziła sobie lepiej ode mnie. Kiedy pytałam ją „pamiętasz?“, energicznie przeczyta, kiwając głową i zaraz odchodziła. Kiedy miała wychodzić za mąż, oddałam jej moją fajansową filiżankę. Jednak ona nie przyjęła i jakby coś przeczuwając, rzekła tylko:

- Zatrzymaj ją. Zawsze będzie dodawała ci sił.

A potem nieoczekiwanie umarła, zostawiając mnie na świecie zupełnie samą. Okazało się, że obozowe eksperymenty zupełnie zniszczyły jej organizm. Mnie zrujnowały psychicznie, a ją zdrowotnie. Przez te wszystkie lata dźwigam ten ból...

Starsza pani zaszlochała. Po policzkach każdego z nas spływały łzy. Czuję, że moje są pąsowe nie tylko z ogromnych emocji, ale i ze wstydu. Za to, że nigdy nie próbowałem nawet dowiedzieć się, co tak naprawdę przeżyła ciotka, że nigdy nie interesowała mnie jej historia, że nigdy nie próbowałem jej pomóc...

Tymczasem starsza pani otarła łzy i rzekła cicho:

- Kiedy ludzie ze sobą walczą, nie ma miejsca na przebaczenie. Ale kiedy strzały ucichną, rodzi się jeszcze większa nienawiść i złość. A te są pretekstem do kolejnej wojny. Pamiętajcie moi mili, że pokój będzie możliwy tylko i wyłącznie, kiedy przebaczymy swoim oprawcom. Ja im przebaczyłam. Przebaczyłam z całego serca...

Kiedy odwróciłem wzrok, aby ukryć wilgotne ze wzruszenia oczy, spojrzałem na fajansową filiżankę...



Dominik Świdorski

„Tam, gdzie kobaltowe rosną kwiaty”

„Przerywamy audycję, aby nadać ważny komunikat. 21 marca 2022 r. na ulicy Sienkiewicza wydarzył się śmiertelny wypadek. Rozpędzony samochód potrącił grupę osób. Dwie osoby zginęły na miejscu, kilka przetransportowano do szpitala w stanie krytycznym.”.

Wiadomości wyemitowane z radia zaburzyły rytm moich czynności. Przygotowywałem ważne dokumenty, aby jak najlepiej wypaść przed nowym klientem. Szef kazał mi dopracować szczegóły. Śpieszyłem się. Wibrujący w kieszeni telefon zatrzymał mnie. Chwila ciszy, a potem głos:

- Dzień dobry, Pan Beker? Pańska matka miała wypadek. Trafiła do szpitala, jej stan jest bardzo ciężki.

Telefon wypadł mi z ręki. Moje serce, jak telefon, roztrzaskało się na milion kawałków. Świat się zatrzymał. Szpital był blisko, biegłem ile sił w nogach, chciałem ją zobaczyć. Modliłem się. Dużo dla siebie znaczyliśmy mimo nikłego kontaktu na co dzień. Praca stała się moim priorytetem. Skupiałem się na wykonywaniu obowiązków, by chronić firmę przed upadkiem, a szczęście rodzinne miało poczekać. Teraz obwinałem się, że dokonałem takiego wyboru.

Otworzyłem drzwi do budynku. Szukałem wskazówek. Szybko przechodziłem przez kolejne oddziały, w końcu udało mi się trafić w odpowiednie miejsce. Usiadłem na krzeselku obok łóżka szpitalnego. Wiele ran i krwi. Straszny widok. Lekarz zapytał, kim jestem. Opowiedział mi o stanie mamy. Nagłe zatrzymanie krążenia w karetce, krwotok, który ledwo udało się zatrzymać, uszkodzona trzustka. Zadawałem sobie pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi.


Byłem przy mamie przez cały czas. Chciałem, żeby się obudziła. Wiedziałem, że koniec jest bliski. Zacząłem przysypiać oparty o łóżko. Nagle poczułem chłód jej dłoni. Mama dotknęła mojej rozgrzanej od przeżywanych emocji twarzy. Obudziła się. Cieszyłem się. Ostatnimi siłami ścisnęła moją dłoń. Z jej bladych, zranionych ust wypłynęło kilka ledwie słyszalnych słów:

- Synku, musisz nas chronić. Idź tam. Szybko. Tam do domu, gdzie kobaltowe rosną kwiaty.

Kardiomonitor rozbrzmiał jednostajnym dźwiękiem. Lekarz z pielęgniarkami wbiegli na salę. Zaczęli reanimację. Wydawało mi się, że trwała nieskończenie długo. Zmęczenie i poczucie beznadziei malowało się na twarzach medyków. A ja stałem z boku wyłączony z emocji.

W dokumencie szpitalnym suche stwierdzenia: Zgon nastąpił 21 marca 2022 r. godzina 19:13. Powód śmierci: nagłe zatrzymanie krążenia.





Wyszedłem na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Musiałem przemyśleć mnóstwo spraw. Oddychałem, aby się uspokoić. Przypomniałem sobie ostatnie słowa mamy „... tam, gdzie kobaltowe rosną kwiaty.” Starłem się szukać ich znaczenia we wspomnieniach. Błądziłem w myślach, rozmazane obrazy pojawiały się w mojej głowie. Byłem gdzieś na obrzeżach miasta, w małym domku. Spędziłem tam kilka wspaniałych dni z mamą.

Nazajutrz droga sama mnie prowadziła do miejsca ze wspomnień. Dom stał pośrodku zieleni. Widok wywołał ciarki. Odważyłem się wejść do środka. Do mojej twarzy przykleiły się pajęczyny, a unoszący się kurz drapał mnie w nos. Idąc, obijałem się o meble. Z każdym krokiem przypominały mi się momenty z dzieciństwa. Znałem to miejsce dobrze, kojarzyłem emocje, zapachy, dźwięki, kolory. Moją uwagę przyciągnęły ceramiczne talerze zawieszane na ścianach. Mama nazywała je fajansami. Pamiętam, że kochała ten motyw pięknych ko... kobaltowych kwiatów.

- Tak, to na pewno o nie chodziło mamie! Były one elementem układanki.

Pozdejmowałem ceramikę ze ściany, aby mieć po mamie pamiątkę. Układałem je, zabezpieczając przed stłuczeniem. Były dla niej z jakiegoś powodu ważne, więc dbałem o nie. Kiedy zdejmowałem jedno z naczyń, potknąłem się. Fajans runął na podłogę. Na moje szczęście nie potłukł się, tylko odwrócił na drugą stronę. Z daleka zobaczyłem zapiski. Wyglądało to jak kawałek mapy. Odwracałem pełen emocji resztę talerzy, ocierałem je z kurzu. Ukazała mi się niewyraźna mapa. Była zapewne wskazówką do czegoś. W końcu zrozumiałem, gdzie znajduje się to, czego szukam. Wybiegłem w stronę drzewa. Rozglądałem się za czymś, czym mógłbym kopać. W oddali wypatrzyłem łopatę opartą o stary garaż. Pobiegłem po nią, by kontynuować kopanie. Za którymś razem usłyszałem dźwięk. Wyciągnąłem drewnianą skrzynkę. Wahałem się czy otworzyć, ale przecież nie mogłem zakończyć mojej przygody w tym miejscu. Były tam czarno-białe zdjęcia rodzinne, listy, które dziadek pisał do babci w czasie wojny, zaschnięte kwiaty. Dotykałem je z delikatnością i czytałem, jednocześnie zastanawiając się nad sensem znaleziska. Poznałem historię mojej rodziny, moją historię. Myślami cofnąłem się do obrazów, na których widziałem się w objęciach bliskich. Obrazy stawały się coraz wyraźniejsze. Czas spędzany z mamą, nasze wspólne pasje, a potem moja kariera, wir pracy oraz natłok obowiązków. Zapomniałem, co tak naprawdę jest w życiu ważne, najważniejsze. Dziś wiedziałem, że to rodzina jest tlenem niezbędnym do życia. Przypomniałem sobie to, co mama wiedziała cały czas i co chciała mi w swoich ostatnich chwilach przypomnieć. Mamo...






Agnieszka Kupiec **Fajansowa bajeczka**

Za górą, rzeką, za setnym morzem, za lasem, co widniał w oddali,
Mieszkał w królestwie płynącym miodem gad, którego wszyscy się bali.
Smok ten, jak każe pradawny zwyczaj, wziął w jasyr królewską córę
I zamknął w wieży na szczycie góry, by życie miała ponure.
Strzegł jej jak oka w głowie własnego, czuł bowiem gdzieś pod żebrami,
Że to nie koniec jeszcze historii między nim a jej, hmm... amantami.

Bowiem...

już z dawien dawna sławni rycerze z mieczem na bestię ruszali,
Lecz żaden dotąd nie uszedł z życiem, giermkowie truchta chowali.
Póki ich kości leżały wokół grobowej wieży zamczyska,
Póty nikt więcej nawet nie myślał, żeby znów w zbroję się wciskać.
I ruszać z kopią albo pałaszem na okrutnego potwora,
Żeby pozbawić go migiem ducha z pomocą swego topora.
I tu się znalazł kolejny śmiałek chętny do ręki królowny,
Który nie bacząc na utrudnienia, swego zwycięstwa był pewny.
Hektolitrami miodu opity, w skrzywionym hełmie na głowie
Ruszył przed siebie, prosto do celu, nie bacząc na swoje zdrowie.
W try miga dotarł konno pod basztę ceramicznego zamczyska,
W którym – jak liczył – na uwolnienie czeka niewiasta mu bliska.
Patrzy... i widzi wieżę z fajansu, dach, okna i most zwodzony,
Ogromne wrota (także z fajansu) i fajansowe balkony.
Zanim do boju ruszył, roztropnie zwrócił ku niebu spojrzenie,
Przeżegnał krzyżem, westchnął głęboko, zamyślił na okamgnienie.
Wierzył on mocno w cnót wywyższenie, słowo honoru, odwagę,
Pokusie chwały kapkę opierał - wszak wróg miał tęgą przewagę.
Nijak to chwata nie pognębiło, bodąc rumaka ostrogą,
Zakasał rękaw, poprawił szyszak, chromoląc ciszę złowrogą.
Już chciał z kopyta ruszyć na wroga, szturmem zdobywać wrót bramy,





Kiedy zobaczył otwarte dźwierzę – za nimi stał wróg rozczochrany,
Który to przespał smacznie w swej jamie ranek i południe całe,
Teraz zaś ze szpon sennych wyrwany ukazał się w gadziej swej chwale.
„Czego waść życzysz?” - zagaił grzecznie, gardząc stalowym orężem.
„Przybyłem pannę z łap twych wybawić , a potem zostać jej mężem”.

Mówiąc te słowa na jednym wydechu młodzian za żelazo chwyta,
Lecz właśnie wtedy na dół po schodach zbiegła prześliczna kobieta.

Diadem na głowie błyska wokoło, kibić jak osa, kłos złoty...

To była ona! Poznał bez zwłoki, czując nielicze ciągoty.

W głowie mu dudni, tętno mu skacze, w jagody gorąc uderza...

Gdy raptem słyszy: „Wracaj do siebie. Nie potrzebuję rycerza.
Nie chcę niczyją żoną zostawać. W smoczej niewoli mam wszystko

Czego potrzeba, by o byt zadbać - zostałam feministką,
Kobietą czynu, biznesu women, bez parcia na ojca władzę,
Nic tu po tobie, nie martw się o mnie, ja sobie świetnie radzę.

Zamiast uprzykrzać wzajem swe życia, zjednoczyliśmy siły,
Założyliśmy spółkę z o.o. jawną jak Wieści Włocławskie głośiły.
Biorąc pod lupę potrzeby rynku, zgodnie doszliśmy do zdania,
Że zarobimy krocie za szansę fajansowego[zamku] zwiedzania”.

Dodała jeszcze na zakończenie: „Nie będę młodości tracić
Na brak wdzięczności, suwerenności i pranie mężowskich gaci”.
Smok słowom panny rażno przyklasnął, podał szarmancko łapę

I z kurtuazją gadzią zaczekał, aż się do wieżyczki wdrapie.
Zbity zaś rycerz (z imć pantałyku), pogrążon w smutku, niestety,
Wrócił do karczmy z nosem na kwintę bez pożądaney kobiety.

Tak oto bajka końca dobiega, o puentę się warto pokusić,
Że: niezależnej, ambitnej kobiety nikt do ratunku nie zmusi.





Anna Blachucka

Fajansowa filiżanka

Siedziała przy łóżku i wpatrywała się w śpiącą dziewczynkę. Piękna... Jasna cera, kruczoczarne kręcone włosy, które żyły swoim życiem. Nawet oddech dziewczynki poruszał te kaskady spiral i co kilka oddechów jakiś kosmyk odrywał się od fali i spływał na buzię, igrając do woli na jej mlecznym policzku. Jedna taka spiralka łaskotała ją teraz bardzo, bo odsunęła ją ręką, nadając temu żywiołowi na głowie nowy kierunek. Mijały – jedna za drugą – niekończące się minuty. Rozczuliła się. Nie mieli dziewczynki. Czwarty chłopiec był radością, był i jest wielkim szczęściem, ale gdyby była dziewczynka... Dwudziestolecie związku. O czułym całowaniu mowy być nie mogło, ale żyli zgodnie. Mirek zabiegał o pieniądze. Gdzie się dało i jak się dało. Mają dom, każdy chłopiec ma swój pokój... Znaczący miał. Od trzech dni dwaj najmłodsi zamieszkali w jednym, bo przecież nie wypada, aby dziewczynka, w dodatku ranna, zamieszkała z chłopcem.

Wspominała teraz samotnie ten dwudziestoletni czas. Mnogie młoteczki pukały delikatnie w jej skroń, jakby jakiś rój wewnętrzny buzował i naciskał wymyślne dźwignie i przyciski. Przyciągnęła do siebie lekki pleciony bujak. Przełożyła pożyczone od sąsiadów lalki i usiadła, nadając nogą delikatne ruchy temu meblowi. Prawie wcale z niego nie korzystała. Mebel po babci. Nigdy nie miała czasu na taki luksus dla ciała. Teraz uprzytomniła sobie, że bardziej ten mebel kołtysze jej myśli, niż ciało.

Wojna! I to za miedzą. Babcine opowieści o II wojnie światowej, niczym film zaczęły się układać w koszmarną akcję. Paralela na niczyje życzenie. Zaraz, zaraz... Jest życzenie, jest chęć Wielkiej Rosji, aby była jeszcze większą. Jeden Putin tylko? Ilu jest takich Putinów? Kto i kiedy mówi prawdę? Ale giną dzieci, giną niewinni... Co ta dziewczynka musiała przeżyć, czego doświadczyć, że sama, bez nikogo bliskiego trafiła do Polski? Postanowiła, że jutro wypyta męża o jej wcześniejsze losy. Przez ile „służbowych” pokoi musiała przejść ta Wierunia, aby trafić do ciepłego, ale przecież obcego łóżka. Skaleczona noga, liczne szcicia ram po cięciach szkła, brak dwu paluszków u lewej ręki. A więc, musiała przejść przez szpitalne sale pełne lekarzy i pielęgniarek, potem ośrodek dla dzieci we Lwowie, potem szpital w Przemyślu, potem hotel dla chorych dzieci... Panie Boże! Jaki był sens ukrzyżowania Syna twojego, Jezusa? Wojen coraz więcej i coraz okrutniejsze.

Następny dzień i jeszcze kolejny nie sprzyjał rozmowom, bo rana na nodze Wiery zaczęła ropieć, a więc kolejne dwie doby pełne zabiegania, ustaleń, zakupów... Musiała wziąć urlop bezpłatny, bo prawna opieka nikomu się nie należała. Dwie bezsenne noce, podawanie leków, opatrunki, mierzenie temperatury, gotowanie zupek, zakup leków, środków opatrunkowych... Mirek wciągnął się w zorganizowaną pomoc dla Ukrainy. Chłopcy po lekcjach też pomagali. Jedną noc spała prawie na klęczkach, będąc gotową na prośbę, a nawet na westchnienie Wiery. Na stoliku leży szybki test antygenowy SARS-C, V-2. Miała zbadać Wierę tym testem. Proste, wymaz z nosa. A jeśli jest chora i zarazi rodzinę? Była w tylu miejscach, stykała się z wieloma ludźmi? Zastanawiała się, dlaczego tego nie wykonała? Względem siebie i rodziny ostrożna i przepisowa za cały system, a tutaj nie



zrobiła przyjezdnemu dziecku testu. Przecież nie można się zasłaniać brakiem czasu, bo to tylko piętnaście minut. A w dodatku, skłamała. Kiedy pielęgniarka zapytała o taki test, powiedziała, że właśnie wczoraj zrobiła Wierusi i można spokojnie przystąpić do zmiany opatrunków. Teraz dziewczynka obudziła się i wysmarkiwała z nosa zielonkawą maź pomieszaną ze zbryloną krwią. Teresa przestraszyła się. Okładała lodem nos dziecka, aby nie dopuścić do krwotoku. Udało się. Wiera spokojnie zasnęła w jej ramionach. Odłożyła ją na łóżko, otuliła kołdrą. Uklękła i zaczęła się modlić. Tak dawno tego nie czyniła. Chłopcy tacy teraz zbuntowani, nie chcieli chodzić na religię. Mąż Mirek zawsze stał obok kościoła. Nie umiała nagiąć rodziny do tradycji, a widocznie jej żar religijny był za mały na chłód rodziny w tym temacie. Różaniec, gdzie różaniec? Jak się odmawia różaniec? Jaka tajemnica pasuje na dziś? Poprawiła kołdrę na łóżku i poszła szukać. Nie znalazła. Wróciła do pokoju Wiery i zaczęła odmawiać i odliczać na palcach kolejne zdrowaśki. W kółko, nie wiedzieć, ile razy. Było już po dwunastej, kiedy wrócił mąż. Tym razem nie wyszła do niego, to on przyszedł do pokoju i razem się modlili. Wydawało jej się to tak nierealne, że aż wzięła go za rękę. Odwzajemnił uścisk. A więc jest tu naprawdę. W pewnym momencie jej wzrok padł na wysuniętą spod kołdry nóżkę dziewczynki. Spojrzała z czułością. Stopa rzymska. Rzadko występuje. Tak śmieszna stopa, jakby złożona z dwóch. Czwarty i piąty paluszek wyraźnie krótszy, jakby nie od tej nogi. Takie stopy mieli dwaj synowie i mąż Mirek. Wysuniętą stopę zauważył mąż, poderwał się szybko i zakrył nóżkę Wierusi kołdrą.

Coś przeszło ją na wskroś, jak strzała, ognista strzała. Wiera ma prawie pięć lat. Sześć lat temu mąż wyjechał na Ukrainę modernizować cementownię Krzywy Róg w rejonie Dniepropietrowskim. Mieszkał tam przez półtora roku. Najpierw nie chciał tam jechać, robił wszystko, aby wywinąć się z tej delegacji, a potem... Wracał na urlop do domu jakiś inny, nieobecny. Teraz, na pierwszy komunikat o bombardowaniach rejonu Dniepropietrowskiego pojechał tam swoim samochodem. Po kilku dniach wrócił z dziewczynką.

– To niemożliwe, niemożliwe – powtarzał jej skołowany umysł.

I choć to był czas na sen, wyjęła z kredensu fajansowe filiżanki. Zaparzyła herbatę. Te filiżanki to pierwszy zakup po ślubie. Umówili się wtedy, że jeśli będzie się działo coś złego w ich małżeństwie, to wyjaśnią to sobie przy herbacie podanej w tych filiżankach.

Mąż nadzwyczaj szybko usiadł do stołu. Zareagowała grochem łez. – Jeśli to prawda, co myślę, to... Drżała. Drżał też Mirek. Nie chciała widzieć jego twarzy, nie chciała też spłoszyć jego myśli. Zapytała tylko cicho:

– To twoja córka?

– Tak. I teraz ma tylko mnie.



Damian Dobrodziej Fajansiara

– Ty stara fajansiaro! – odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nie poczuła się obrażona tym określeniem. Miała osiemdziesiąt lat, więc nie mogła zaprzeczyć, że jest już stara. Każdego dnia nie mogła nadziwić się swojej pomarszczonej twarzy, którą widziała w łazienkowym lustrze. Od kilku lat przestała też walczyć z siwymi włosami. Ale skąd wiedział o jej zamiłowaniu do fajansu? Tego nie mogła rozgryźć.

Jej ulubioną bajką z dzieciństwa była ta o porcelanowym imbryku Andersena. Wzruszała ją szczególnie scena, gdy imbryk zostawał rozbity. Na starość czuła się podobnie – jak zużyta skorupa. Nie przypominała jednak cennej porcelany, a bardziej codzienny fajans. Ale nie mogła powiedzieć, że jej życie było nieszczęśliwe – wychowała dwóch synów na porządnym ludzi. A to niełatwe zadanie.

Nie wiedziała, czym aż tak bardzo zdenerwowała tego mężczyznę. Zaczepiła go w pobliżu Katedry, gdy szła na codzienny spacer do pobliskiego parku. Dawniej każdy by przystanął i chętnie porozmawiał. Dzisiaj wszyscy gdzieś pędzili, ale zwykle nawet nie wiedzieli po co i dokąd. A życie jest tu i teraz. Ona już to wiedziała, ale w młodości nie była aż taka mądra.

Przez całe życie uczciwie malowała fajans. Miała pewną rękę, co widać było w tworzonych przez nią zdobieniach. Lubiła te malowane na niebiesko, bo kojarzyły jej się z kolorem nieba – wiedziała, że to banalne. W zdobieniach trzeba było być dokładnym i cierpliwym. Dziś już ludzie tego nie mają za wiele w sobie.

Źle pomalowany fajans albo taki z widocznymi wadami można było zabrać do domu. Często obdarowywała takimi wyrobami swoich bliskich. Z całej kolekcji zostało jej już tylko kilka kubków. Ceniła je, bo pita z nich herbata smakowała jej najlepiej.

Szczególnie lubiła takie bez ucha, w których latem kompot był długo chłodny, a zimą rozgrzany fajans ogrzewał przyjemnie dłonie. Jego ciepło można było jeszcze odczuć przez chwilę po wypiciu ostatniego łyku herbaty.

Chłopcy dzwoniли do niej w każdą niedzielę, bo wiele lat temu wyprowadzili się z miasta. Nie jeździła do nich zbyt często. Długie siedzenie w pociągu śmiertelnie ją nudziło. Dzisiaj sobota, więc telefon rozdzwoni się jutro.

– Jak się dziś czujesz? Co robiłaś wczoraj? Jaka pogoda u ciebie? – pytali ją zwykle, ale nie do końca byli ciekawi jej odpowiedzi.

Nie miała czasu, żeby czuć się samotną – każdego dnia miała wiele zajęć, które sama sobie wyznaczała. Wymieniała książki w osiedlowej bibliotece, słuchała muzyki, a niedawno zaczęła się uczyć języka japońskiego.

– Po co ci to wszystko? – koleżanki ciągle się jej dziwiły.



Nie widziały w tym sensu, ale ich zdaniem zupełnie już się nie przejmowała. Wołała swoje codzienne zajęcia od rozmów na temat chorób i czekania na kolejną wizytę u lekarza. W sumie przejmowała się już tylko swoim zdaniem i bardzo dobrze się z tym czuła. Żałowała tylko, że nie robiła tak przez całe życie.

Zaczepliła tego faceta, bo przypominał jej chłopaka, którego znała w liceum. Był jej pierwszą miłością i pamiętała wspólne spacerunki nad Wisłą i ich pierwszy pocałunek na bulwarach. Dobrze się bawili na studniówce, a po maturze ich drogi jakoś się rozeszły. On wyjechał na studia do Łodzi, a ona zaczęła malować fajans. A potem poznała Adama i nie widziała świata poza nim.

Nie lubiła tego rozpamiętywania przeszłości – wołała skupić się na teraźniejszości. Co było, to było – po co do tego wracać? Przeszłości nie zmienisz.

Nadchodziła pora powrotu do domu. Musi nakarmić kota-przybłądę, którego przygarnęła w zeszłym roku. Nie nadała mu jeszcze imienia, bo nie mogła się na żadne zdecydować. Kot nadal trzymał dystans, ale wierzyła, że jutro, najpóźniej w przyszłym tygodniu, muru między nimi już nie będzie. Zawsze to milej, jak ktoś czeka na ciebie w domu.

Wchodząc do domu poprawiła zdjęcie babci, które wisało na ścianie w przedpokoju. Na małym portreciku młoda dziewczyna pozując z ogromnym bukietem kwiatów patrzyła w stronę fotografa. Lubiała otaczać się wieloma bibelotami. Kłopotliwy był tylko kurz, który osiadał na tym wszystkim. W każdy poniedziałek wilgotną szmatką ścierała go dokładnie ze wszystkich półek. Skandynawski minimalizm dobrze wyglądał na zdjęciach, ale w życiu człowiek, nawet jak nie chce, gromadzi wiele przedmiotów. Po śmierci męża zdecydowała się na przeprowadzkę do mniejszego mieszkania, zabrała ze sobą tylko te rzeczy, które coś jej przypominały. Pozostałe rozdała znajomym albo przekazała potrzebującym. Do grobu tego nie zabierze, a ma wszystko, czego potrzebowała do wygodnego życia.

Przysiadła na taborecie koło okna. Czajnik zaczął gwizdać. Wyrwał ją z zamyślenia. Ulubioną herbatę – japońską wiśnię – zalała wrzątkiem, choć wiedziała, że powinna chwilę odczekać, aby woda obniżyła nieco temperaturę. Wzięła fajansowy kubek, usiadła w fotelu przykrywając kocem zmarznięte nogi. „Jesień coraz bliżej” – pomyślała, przyglądając się kolorowym liściom za oknem. Ciepły kubek miło parzył jej dłonie. Lepiej być fajansiarą, niż zwykłą jesieniarą – ostatnie promienie słońca ogrzewały jej twarz.



Luonna Buczkowska **FILIZANKI**

Młode kobiety marzą tak pięknie,
nie wierzą w planów swych kruchość.
Tyle pomysłów mają codziennie,
jak dziś nie zdążą, to jutro.

Stare kobiety pragnienia mają
skromniejsze, przyziemne raczej,
by, gdy iść przyjdzie już życia skrajem,
miały z kimś wypić herbatę.

Filizanki fajansowe mają w szafce –
malowane w błękitne róże.
Dwie z serwisu zostały – ostatnie,
wykruszyła się reszta, jak ludzie...

Filizanki fajansowe mają w szafce
i nadzieję, że ktoś na dłużej
wpadnie do nich, wypić herbatę
z filizanki w niebieskie róże.

Starzy mężczyźni trwają w rozterce,
a tu za oknem wciąż chłodniej.
Myślą, czy Julia jeszcze ich zechce,
liczą na znak jakiś od niej...

Bowiem mężczyźni są niedomyślni,
nie widzą, że obok w oknie,
zaraz po drugiej stronie ulicy,
ich Julia czeka samotnie.

Filizanki fajansowe trzyma w szafce –
malowane w błękitne róże.
Dwie z serwisu zostały – ostatnie,
wykruszyła się reszta, jak ludzie...

Filizanki fajansowe trzyma w szafce
i wciąż wierzy, że ktoś na dłużej
wpadnie do niej, wypić herbatę
z filizanki w błękitne róże.





Jarostaw Nowacki

Mój Kapitan

Kiedy Kapitan mocniej ścisnął mnie swoją szorstką dłońią, przeszedł mnie dreszcz, bo zrozumiałam, że to już koniec. Jeszcze raz poczułam jego wiecznie słone od morza wargi, a w oddechu wyczułam nieodłączną ulotną woń rumu Jamajka, którą tak lubiłam. To nasz mały sekret – kochałam jego zapach, a on mój. Zadrżałam ponownie, po czym coś wypaliło się we mnie i zgasło.

Mój Kapitan... No dobrze, nie tylko mój. Wiem, że miał wiele innych, ale nie będę zazdrosna. Teraz to nie ma znaczenia. To ja zostałam z nim do samego końca. Jego ostatnie słowa nie były wcale romantyczne. Nie były również krzepiące, ale na szczęście nie były też patetyczne. Nie ważne, bo nie były w ogóle skierowane do mnie. To był tylko rozkaz. Ostatni rozkaz, którego za nic nie chciałby wydać żaden kapitan - „Opuścić statek!”. Gdy wszyscy już zeszli do szalup i zostaliśmy tylko we dwoje, nie było już o czym mówić. Słuchaliśmy razem ostatniej pożegnalnej melodii – szumu wiatru i krzyku mew nad pobliskimi skałami. Tymi skałami, których nie zdołaliśmy ominąć. Horyzont powoli przechylał się na bok wraz z przechylającym się kadłubem. Kapitan postanowił do końca zostać ze swym statkiem, a ja z nim. Woda podnosiła się coraz szybciej, a on tylko spoglądał na morze i chmury, chociaż nie miało już żadnego znaczenia, jaką pogodę przyniosą.

Minęło chyba sporo lat. Ile? Nie wiem. Tu wszystko dzieje się wolniej. Czas nie płynie, lecz leniwe dryfuje, kołysany rytmem przyływów i odpływów. Czaszka Kapitana niegdyś tak biała, pożółkła i zaczęły ją porastać pąkle. Ostatnie strzępy munduru dawno już odpłynęły w siną dal i pozostały tylko pozłociste guziki, które z czasem pokryły się patyną. No i zostałam z nim ja. Drewniany ustnik i cybuch, choć zakonserwowały się w słonej wodzie, to poczerniały i całkiem straciły swój dawny blask i fason. Za to moja jasna fajansowa główka nadal lśni jak nowa i nie czepiają się niej żadne narośla. Tu jest dość płytko, więc w słoneczne dni dochodzi wystarczająco dużo światła, by promienie mogły się odbijać w mojej gładkiej powierzchni. Będę więc tak świecić i błyszczeć dla mojego Kapitana, aż po kres jego wiecznej wachty. Mój Kapitan.



Blazej Wujcik

NADZIEJA W KUBKU – ESEJ

Mamy jesień 1986. Ten rok wypadł mi niekorzystnie, zapadłem na zdrowiu, nie mogę dojść do siebie i to mnie dręczy, ta beczynność mnie dobija (...) czuję się nikomu niepotrzebny. Nawet na zjazd naszego zgrupowania partyzanckiego nie pojechałem, choć miałem zaproszenie, po prostu nie miałem na to siły i bałem się sam wyruszyć w podróż. A tak bym chciał jeszcze zobaczyć się z kolegami i przyjaciółmi”.

Mój pradziadek Ryszard, który napisał powyżej cytowane słowa, spisywał swoje wspomnienia, będąc tuż po wylewie. Dziadek Józef (jego syn) oraz inni członkowie rodziny bardzo dobrze zapamiętali, że schorowany, słaby, niedołężny siadał z niebieskim zeszytem i pisał. Zawsze z nieodłącznym, fajansowym kubkiem - „włocławkiem” - w kobaltowe oraz czerwone kwiaty (pił mocną herbatę wyłącznie z niego). Naczynie (sygnatura-Fabryka Fajansu Braci Cohn z 1937) należy teraz do mnie. Pradziadek zmarł w 1987, zeszytik był bezskutecznie szukany 34 lata. Kiedy odnalazł się w listopadzie 2023 roku, nie mogłem przejść obok tego obojętnie. Układałem wspomnienia jak puzzle, by wyłoniony obraz mojego przodka pomógł mi nie tylko zrozumieć kim on był, ale też kim ja jestem teraz. Starłem się zrozumieć wojenne i powojenne losy partyzanta z okolic Hańska.

Mam teraz 15 lat, gdy mój pradziadek był 3 lata ode mnie starszy, trafił do niemieckiego obozu pracy (cytuję kolejny fragment wspomnień Ryszarda):

„Zaczęły się masowe aresztowania. Dużo naszych chłopców zostało rozstrzelanych lub wywiezionych do obozów koncentracyjnych, skąd przeważnie nie powrócili. W 1943 zabrano 25. rocznik (rocznik pradziadka) do przymusowego obozu pracy. W barakach - zagrodzonych dookoła kolczastym drutem - dookoła stały posterunki żandarmów.

Za byle wykroczenie, a często niewinnie, bito nas i głodzono. Wyżywienie było bardzo złe: zupa z brukwi lub pokrzyw, 300 gramów chleba, łyżka buraczanej marmolady, czarna zbożowa kawa. Wydano nam drewniaki bardzo ciężkie i drelichy do pracy. Pracowaliśmy najczęściej po 12 godzin dziennie przy budowie linii kolejowej”.

Niestety zapiski urywają się w tym miejscu (w zeszyciku brakuje stron) i nie wiem dokładnie, w którym obozie pracy znalazł się pradziadek, jednakże z opowiadań dziadka wiem, że jego ojciec uciekł z obozu pracy i tak właśnie trafił do partyzantki, działającej w rejonie trójkąta Włodawa - Parczew - Łomazy. Partyzanci rozlokowani koło tych miejscowości wychodzili na akcje, atakując linie kolejowe (pradziadek był saperem). Wzruszająco opisany jest we wspomnieniach moment powrotu „do cywila”, do domu rodzinnego:

„Do Lublina dojechało nas tylko trzech, przedział opustoszał, wreszcie dotarłem do stacji docelowej. Był silny mróz i zadymki śnieżne. Wstąpiłem do kuzynów po drodze, tam zjadłem obiad, chciałem wyruszyć w dalszą drogę, doradzali mi, żebym u nich zanocował, ale nie chciałem. Postanowiłem



ciągnąć do domu, droga była bardzo zawiana, liczyłem, że będzie przejezdna, ale okazało się, że szosa również była zawiana, tak, iż trudno się było zorientować gdzie jest, ponieważ słupy telefoniczne w czasie wojny zostały zniszczone. Szedłem po prostu na azymut, czułem się bardzo zmęczony, a do domu było jeszcze daleko, chwilami byłem tak zmordowany, że chciałem usiąść na śniegu, ogarniała mnie senność, siłą woli przemogłem się i szedłem wciąż naprzód". Wieś - do której szedł - to miejsce jego urodzenia - Górki koło Luty (dziś powiat włodawski). Sprawdziłem odległość - to 34 km!

„Wreszcie o godzinie 22.00 dotarłem do domu, nie spodziewali się mnie, ale bardzo się ucieszyli." Często - gdy popijam herbatę ze starego fajansowego kubka - wyobrażam sobie, jak zmarznięty pradziadek bierze go w zlodowaciałe dłonie, jak gorący płyn przyjemnie rozgrzewa jego ciało. Bukieć polnych kwiatuśków na tym włocławskim fajansie przypominał mu z pewnością ciepłe, beztrudne lata na łąkach wiejskich, gdzie spędzał czas w dzieciństwie, kobaltowa obwódka przywoływała błękitne, czyste niebo bez samolotów bojowych, czas bez smutku i wojny...

Pradziadek ślub z prababcią wziął w 1947 roku, wesela nie wyprawiali, środki materialne na to nie pozwalały. Upatrzyli sobie gospodarstwo rolne opuszczone, gdzie ludzie zostali przesiedleni, budynki zaniedbane, postanowili tam się osiedlić. Po weselu Rysiek zabrał żonę, załadowali się na wóz konny i pojechali na to gospodarstwo. Wszystkiego było brak, napracowali się, wykosili zboże kosą. Ledwie zwieźli zboże do stodoły, a wieś (Mosty) została spalona przez nacjonalistów, spalili się nawet osobiste rzeczy, garnki także, nie było w czym gotować ani z czego jeść. Mój dziadek Józio, który zaledwie im się urodził (miał dwa miesiące) został zawinięty w ocalałą pierzynę i włożony na wóz.

Z pożaru ocalał jeszcze tylko fajansowy kubek w kwiatki, pewnie dlatego Ryszard chciał pić tylko z niego... Jest dla mnie cenniejszy niż medale, które pozostały pamiątką rodzinną, ponieważ to on był z pradziadkiem w chwilach największej radości i najgłębszego bólu...

Okrągły kształt kubeczka przypomina mi niezmienny cykl życia oraz jego pełnię (zarówno szczęście jak i cierpienie w życiu Ryśka, jak i każdego człowieka). Kształt koła to symbol zarówno upływającego czasu, jak i odrodzenia. Mówi się, że kołem życie się toczy. Człowiek umiera i rodzi się. Był Ryszard, teraz jestem ja. Okrąg to nieskończoność, wieczność, Słońce obraca się i wyznacza ścieżkę wokół okręgu nieba, którą podążają dzień i noc. Tak samo następują po sobie życie i śmierć. To jest właśnie wielka mądrość koła życia-odradzania. Fajansowy kubek ma dla mnie zatem kształt doskonały... Niebieskie kwiaty - kolor nieba oraz morza - kojarzy mi się z możliwościami i otwartością świata. Patrząc na fajansowe naczynie wiem, że horyzonty są nieograniczone, a przyszłość - także moja - pełna jest nadziei!



Kinga Marcinkowska **Filiżanka zimnych refleksji**

Fajansowa filiżanka spoczywa w rogu kredensu,
Przedmiot tak zwykły, jednak drzemie w nim zaduma.
Wzory delikatne, barwy już nieco przygaste,
Jakby w swej ciszy coś ważnego miała nam rzec.
Daleka od rozpraszania uwagi, nie krzyczy swą formą,
Lecz w skromności swojej skryła to, co już uleciało.
Czy to tylko filiżanka, w której co dzień herbatę parzymy,
Czy może coś więcej – świadek bezdźwięcznych rozmów?
W jej wnętrzu odbija się szara codzienność,
łączy chwile radości i smutku - tego bez kresu.
Niegdyś może z niej piła staruszka umęczona,
Odległe wizje snując o życiu minionym.
Przedmiot trwały, choć kruchy – jak istnienie człowiecze,
I pomimo jej lekkości, czuję ciężar wspomnień.
Czyżby filiżanka z fajansu miała duszę?
A może to tylko my tchnęliśmy w nią życie?
W prostocie jej formy kryje się piękno tego co jest i tego co było,
Które na co dzień choć krzyczy, jest niewidzialne.
Filiżanka z fajansu – milcząca towarzyszka,
Świadek życia, cichy gap zdarzeń.





Martyna Prokop

Felicja

Jestem Fela, a właściwie Felicja. Malutka, fajansowa filiżanka z cudnym niebieskim wzorem. Chociaż mam już swoje lata i wiele przeżyłam, to nadal jestem użyteczna. Kiedyś mieszkałam u Pani Róży, na półce w kredensie obok innych filiżanek i fajansowego imbryka. Najbardziej lubiłam poranki, gdy pani Róża zaparzała jaśminową herbatę. Kładła mnie wówczas na pięknej, szydełkowej serwecie, nalewała herbatę, siadała w fotelu i czytała.

Niestety moja kochana Pani Róża odeszła, a ja kilka miesięcy temu zostałam wyrzucona razem z innymi niepotrzebnymi rzeczami. Myślałam, że to już koniec, a jednak wydarzyło się coś niezwykłego.

Najpierw zabrała mnie mała dziewczynka, która bawiła się swoimi lalkami w przyjęcia i bardzo jej się spodobałam. Dziewczynka często bawiła się na łące i po prostu któregoś dnia zapomniała mnie zabrać.

Tkwiłam tak samotnie na tej łące, w krzaczkach pod rozłożystym dębem, obserwując życie jej mieszkańców. Zaprzyjaźniłam się nawet z Kostkiem – kretem który mieszkał nieopodal. Pewnego ranka gdy się obudziłam, zobaczyłam dziwne zwierzątko. Stało nieopodal i przyglądało mi się z ciekawością. Było troszkę większa od Kostka i miało taką rozczochraną sierść. Wyglądało dość sympatycznie.

Cześć, jestem Luna – powiedziało zwierzę. Jestem świnką morską. Żyję sobie na wolności tu na łące. A ty kim jesteś?

Jestem Fela, zostałam porzucona na tej łące i tak sobie tu tkwię. – odpowiedziałam.

Czyli nie masz domu? – dopytywała Luna.

Teraz nie mam. – odpowiedziałam ze smutkiem.

Jeśli chcesz mogę zabrać Cię do mojej norki. Miejsca wystarczy dla nas obu - zaproponowała Luna. W ten oto sposób trafiłam do tego wyjątkowego domu, w którym jestem do dziś i w samą porę, bo już zbliżała się zima.

Zima na łące bywa długa, szara i nudna zwłaszcza jak jest się małym zwierzątkiem i fajansową filiżanką. My, filiżanki i zwierzęta, nie jeździmy na sankach, ani nie lepimy bałwana i musimy sobie jakoś urozmaicić długie, zimowe wieczory.

Pewnego wieczoru umówiliśmy się w domu Kostka na herbatkę i planszówki. Bardzo go lubię, bo uważa że jestem wyjątkowa i unikalna. Wyczytał to ze znaków, które mam pod dnem. Podobno jestem z Włocławka. Ciekawe gdzie to jest. Bardzo chciałabym kiedyś tam pojechać.

W mieszkaniu Kostka było mnóstwo książek, map i taka wielka kula z obrazkami, którą Kostek nazywał globusem. Globus to nic innego, tylko taki model świata. Bardzo mnie to zaciekało. Kostek pokazał nam na globusie, gdzie leży nasza łąka. Była mniejsza od ziarenka piasku. Pokazał nam też Amerykę Południową, czyli kontynent, z którego pochodzą takie świnki jak Luna.

Pograliśmy tego wieczoru w warcaby i wróciliśmy do swojego domu. Jednak cały czas myślałam o globusie i o tej Ameryce. Fajnie by było tam pojechać. Ciekawiło mnie jednak bardzo, w jaki sposób świnki znalazły się tak daleko od domu, w tej Europie.





Opowieści Kostka tak bardzo mnie zafascynowały, że kiedyś miałam nawet taki sen....

Mieszkałam w ciepłym, pięknym, zielonym lesie deszczowym razem z panią Różą i Luną. Wszystko było tam niezwykle kolorowe. Tuż za lasem była piękna plaża z palmami kokosowymi i złotym piaskiem.

Pewnego dnia, jak co rano, pani Róża piła jaśminową herbatę a ja patrzyłam na plażę i zobaczyłam tam jakiś ludzi. Nieopodal, na wodzie był statek. Pani Róża poszła porozmawiać z nimi, zabrała mnie i Lunę. Troszkę porozglądaliśmy się po statku i Luna przypadkowo weszła do jakiejś torby. Długo nie wychodziła, a pani Róża wróciła do swojego domku. Byłam przerażona, że już nigdy nie zobaczę mojej przyjaciółki.

Na szczęście pani Róża postanowiła odwiedzić swoich krewnych w Europie i wraz ze mną też popłynęła tym statkiem. Rozglądałam się z niecierpliwością po statku w poszukiwaniu Luny i nagle zobaczyłam tą torbę, do której weszła. Zawołałam ją.

Po kilku chwilach Luna wyszła wreszcie z torby i... przestraszyła się. Biegała zdezorientowana po całym statku. Na szczęście zobaczyła panią Różę i mnie.

Płynęliśmy bardzo długo i nagle wptynęliśmy w burzę. Sztorm na morzu to nie taki deszczyk tropikalny. Statek kołysał się mocno na ogromnych falach. Woda wlewała się na pokład z morza i z chmur. Wszystko latało dookoła i było ciemno, tylko od czasu do czasu po grzmotach, błyskawica rozjaśniła niebo. W końcu nad ranem przestało padać, morze uspokoiło się, a gdzieś nad horyzontem zaczęło wschodzić słońce. Wschody i zachody słońca na morzu to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Na morzu dni bardzo się dłużyły. Ciągłe morze i morze. Czasami tylko, gdzieś daleko widziałam jakąś samotną wyspę. Niekiedy, tak dla rozrywki, obserwowaliśmy z Luną z ukrycia morze i pewnego dnia pojawiło się coś niezwykłego. Ogromne, szare zwierzę, wynurzyło się z wody. Było wielkie jak statek i Luna powiedziała, że to jest wieloryb. Bardzo mi się podobał. Innym razem widziałyśmy stado delfinów, a właściwie mamę z dziećmi. Były urocze. Podpływały do statku i wydawały takie śmieszne dźwięki zupełnie jakby ze sobą rozmawiały.

Pewnego dnia zobaczyłam, jak jeden z żeglarzy wspina się na maszt. Bardzo mnie zaciekawiło, po co to robi. Spytałam Luny, a ona powiedziała mi, że na szczycie znajduje się taki kosz nazywany bocianim gniazdem, z którego dobrze i daleko widać. Luna postanowiła, że też spróbuje wspiąć się tam i być może zobaczy jakiś ląd.

I udało się!!

Wspięła się i zobaczyła w oddali skały i za nimi ląd.

Po kilku dniach statek zatrzymał się. Marynarze wynosili różne rzeczy na brzeg i wtedy... obudziłam się.

Piękna i ciekawa była ta podróż. Szkoda, że to był tylko mój sen. Myślę, że tak właśnie przodkowie Luny przyплыnęli do Europy.

Opowiedziałam ten sen Kostkowi, a on powiedział, że w książkach znajdę wiele ciekawych historii i czytając je, będę mogła podróżować po całym świecie, nie wychodząc z norki. To super pomysł na długie, zimowe wieczory i nie tylko.

Kto wie, może znajdę w nich jakąś ciekawą historię o małej, fajansowej filizance takiej jak ja.



Marta Figas

Wszystko wydarzyło się pewnego lipcowego wieczoru, gdy na ogromnej scenie, bliżej mi nie określone światła zabłyśły. Nawet Szymon, z natury spokojny, jednak jak na pięciolatek przystało bardzo ruchliwy chłopiec, przestał biegać w tą i z powrotem, stanął obok swojej mamy i wpatrywał się z zaciekawieniem w scenę. Przyznam, nawet mnie zaciekawiło to, co rozgrywało się na platformie. Kolorowe światełka migające we wszystkich kolorach tęczy zapalały się i gasły, zza kurtyny wyszły tancerki. Ich ciała zaczęły się wyginać we wszystkie strony świata i... i dalej nie wiem co się stało, bo poleciałem z hukiem na drewnianą posadzkę, przewróciłem się na plastikowe kółka, które poturlały się w stronę światła. Z początku nie przejąłem się zbytnio. Już nie raz Szymek wypuszczał mnie ze swoich małych rączek, a później biegł, by jak najszybciej mnie odnaleźć. Tym razem tak się jednak nie stało, sala stawała się coraz bardziej pusta, aż w końcu została jedynie głucha cisza. Spędziłem tam dzień i noc. Tracąc nadzieje na jakiegokolwiek odnalezienie, skuliłem się w kącie. Nie szukałem nadziei, prawdę powiedziawszy to ona znalazła mnie. Nie zliczę w prawdzie ile to trwało, ale przyszła kobieta z mopem oraz szmatką do kurzy. Patrzyła się na mnie przez dłuższą chwilę, aż w końcu podniosła konstrukcję mojego zderzaka i powędrowała ze mną w dziwne miejsce. Niczym ono nie przypominało mojego domu, w którym tak bardzo chciałem się znaleźć. Rzuciła mnie w ciemność jak kaczką w stronę tafli wody, wierząc, że się od niej odbije, po czym zamknęła gigantyczne drewniane drzwi.

Załkałem cicho.

- I co tak płaczesz? Ze skóry cię obdzierają? - odezwał się niski głos z wnętrza ciemnego korytarza.

- Nie ale... - nie dokończyłem, wybuchając jeszcze większym płaczem - osoba, na której mi zależało mnie zostawiła, a ja za nią tak tęsknię...

- Każdy z nas przez to przechodził, nie martw się, przywykniesz. Moim oczom ukazał się stary imbryk do herbaty z wrocławskimi wzorami fajansowymi.

- Kim... ? Kim ty jesteś?

- Zniszczonym przez świat imbrykiem fajansowym. - Uśmiechnął się smutno. Dopiero wtedy dostrzegłem na jego porcelanie rysy oraz pęknięcia.

To zabawne, że pomimo jego brzydoty bił od niego blask wewnętrznego piękna. Coś na pozór tak brzydkiego, bo przecież miało rysy i pęknięcia, było tak piękne.

- Zostawili cię jak każdego z nas tutaj - kontynuował - zobaczysz, że tu z nami będzie ci lepiej niż z tymi hipokrytami. - Stwierdził, a ja dopiero wtedy dostrzegłem krzesła, walające się parasolki i mnóstwo zabawek.

Posłałem mu smutny uśmiech.

- Czemu uznajesz ludzi za hipokrytów?

- Bo właśnie tym są! Zależy im tylko jak będziesz wyglądał, ile będziesz ważył i czy będziesz ładnym, tacy właśnie są ludzie! Zadufanymi w sobie hipokrytami!



- Błękit, przecież on nie zrozumie, opowiedz mu swoją historię! - Odezwała się lalka z idealnie ułożonymi loczkami i różową spódniczką.

- Ah, opowiadałem ją tyle razy Lauro.

- No i co z tego? Ale najpierw - spojrzała się na mnie - Jak masz na imię samochodziku?

- Zygzak, Zygzak McQueen.

- Dobrze Zygzaku, teraz rozsiądź się wygodnie, bo stary Błękit opowie ci swoją historię.

- Pamiętliwej zimy 1924 r. powstałem jako mały białutki imbryk do parzenia herbaty, za oknem tamtego zimowego poranka panowała wielka śnieżycą. Stałem na stole, jak wy tutaj w szeregu.

- Wskazał na nas potłuczonym uchem. - Nikt nie był zbyt rozmowny, każdy stał jak na rozstrzelaniu i czekał, aż kobieta w białym jak śnieg fartuchu weźmie ciebie do rąk i zacznie rozprowadzać po tobie farbę. Po paru dniach trafiłem na wystawę sklepową, nie trzeba było długo czekać, tudzież niejaka pani Danuta kupiła mnie za około - zamyślił się przez chwilę - 200 złoty? Jak na tamte czasy to strasznie dużo. Stałem w salonie, gdzie byłem używany jedynie na specjalne okazje, widziałem bawiące się dzieci, biegające dookoła stołu, które z wielką radością jadły obiad i rozmawiały o odległych marzeniach. Miałem tam nawet swoich kumpli - Uśmiechnął się rześko. - Złoty świecznik i kryształowy dzbanek dla kwiatów. - Westchnął. - Te lat były najcudowniejszymi, jakie mogłem sobie wymarzyć. Później nastąpiła wojna, a mój dom rozpadł się wraz z dniem zrzucenia bomby na kamienicę.

- Na jego porcelanie autentycznie pojawił się ból. - Znalezione mnie po wojnie w ruinach, nikt nie ocalał poza mną. - Spuścił wzrok. - Przez kolejne 40 lat byłem w domu pewnej staruszki, która traktowała mnie jedynie jako ozdobę, zapominając o funkcjach, jakie posiadałem.

- I co? Co było dalej? - Zaciekawilem się.

- Po jej śmierci trafiłem na pchli targ, skąd zostałem kupiony przez panią Janinę, która po paru latach zaniósła mnie do pracowni w „Browarze B.". Stałem na stołku jako martwa natura. Widziałem śmiejących się dorosłych, jak i dzieci. Wspaniale było tam stać i być malowanym. Czułem się dumnie, że to ja widnieje na prawie każdym z rysunków, ale jak to bywa z życiem zawsze to, co dobre, szybko się skończyło. - Spojrzał się na mnie. - Jesienią 2022 roku zostałem szturchnięty przypadkowo przez dziewczynę, przez którą roztrzaskałem się na milion kawałeczków, przez moją brzydotę wyrzucili mnie do piwnicy tego okropnego miejsca. No cóż, może ktoś kiedyś wspomni me słowa i pochyli się nad losem starego imbryka. - Powiedział nostalgicznie, po czym jego postura zaczęła zanikać w ciemni sali.

Westchnąłem. Laura zachęciła mnie do pójścia za nią, zaprowadziła mnie w głąb ciemnego pomieszczenia, było tam jeszcze więcej zepsutych rzeczy. Dlaczego stłuczenia i rysy sprawiały, że inni uważali, że są takie brzydkie? Czy przecież nie to sprawiało, że są wyjątkowe?





Martyna Wybraniec **Milczący Świadkowie**

Fajans rozbity na stole,
łamie światło jak kłamstwo,
posłuszny dłońmi zbrodniarza,
ślizga się cieniem po stole.

W kącie kuchni, w milczeniu,
płowięją miski, blade jak wspomnienia,
na tle rdzewiejących narzędzi,
opowiadane ciszą w zaciśniętych zębach.

Każdy talerz pamięta dotyk,
rozsiane po ich powierzchniach
wspomnienia potłuczonej niewinności.
Krzyk szkła niesie się po ścianach.

Kafle podłogi, zimne jak jego oczy,
odbicie obojętności w splotach brudu,
ślady stóp nie do zatarcia,
kroki przeszłości zamykają się w porcelanie.

Czajnik z wygasłym płomieniem,
niemy świadkiem długich nocy,
gdy wrzenie ustępuje ciszy,
a zbrodniarz odpływa w sen,
splatając myśli z mrokiem.

Nierówny czas płynie z filiżanki,
pękniętej na wieki,
tak jak jego dusza -
krucha, lecz trwała w swej pustce.

Fajansowe naczynia,
milczący świadkowie tajemnic,
które nigdy nie zostaną wyjawione,
bo kto słucha porcelany,
w której zakłęta jest groza przeszłości?





Centrum Kultury „Browar B.” we Włocławku

Dyrektor Lidia Piechocka-Witczak
ul. Łęgska 28, 87-800 Włocławek
tel./fax 54 427 02 30
www.ckbrowarb.pl sekretariat@ckbb.pl

Projekt katalogu - Maja Neugebauer
Tekst wstępu - Marta Kotecka
Korekta tekstów - Marta Kotecka

Włocławek, wrzesień 2024 rok



WŁOCŁAWEK